

— Domyśliłem się tego, — uśmiechnął się — o co ci idzie?

Kola odsunął się dyskretnie na bok, a Wanda mówiła:

— Zdaje mi się, że ciocia Kulińska nie może sobie dać rady bezemnie... rozumiesz?

— To bieda, że cioci od tygodnia niema w Warszawie — uśmiechnął się — ale może się poradzi jakoś.

— Liczę na ciebie, mój Władku.

Zbliżyli się do ganku, na którym stał gospodarz, blondyn krępy, z wesołą, pogodną twarzą. Po zaznajomieniu się z Kola, zwrócił się do Bala:

— Zrobiłeś nam bardzo przyjemną niespodziankę i nie puścimy cię Władku tak prędko.

— Przyjechałem na jeden dzień.

— O tem pogadamy później — zaśmiał się — twój pokój gotowy, a spieszcie się panowie, bo zupa stygnie.

W czasie obiadu rozmowa zesłała naturalnie na politykę i gospodarz mówił:

— Nie wierzę i ja rządowi, ale ta bezwzględność opozycji skrajnych żywiołów oburza mnie... czekajmy, a może naprawdę zbliżamy się do konstytucji.

— Idzie o to słówko „może“, które radykalni chcą zamienić na „musi“.

— Więc zawsze jesteś czerwony — uśmiechnęła się z wyrozumiałością zameżna siostra, ładna, spokojna blondynka.

— Gdybym się zmienił, stałbym się po wypadkach majowych czerwieńszym, chociażby dlatego, aby zrównoważyć blady strach filistrów.

— To prawda — zaśmiała się Wanda — ach Władku, gdybyś ty słyszał narzekania naszych sąsiadów.

— Napewno nie większe, aniżeli warszawskich i łódzkich przemysłowców — uśmiechnął się Kola.

— Czy obaj jedziecie na tym samym wózku? — spytał gospodarz, a na ich potakujące skinienie, dodał — Jestem od was starszy o jakie piętnaście lat, dużo widziałem i czytałem, ale takiej anarchii nie znam.

— To walka, nie anarchia — rzekł Kola.

— Właśnie nazywasz pan owe napady zbrojne na sklepy monopolowe, — mówił drwiąco — na kasy rządowe...

Kola i Bal spojrzeli porozumiewawczo, a mimowolnie na siebie.

— Bardzo się cieszę, że jestem zdala od tego rodzaju walki. My tu pracujemy spokojnie, wytrwale i zapewne w oczach waszych jesteśmy zacofani burżuazje, jak to niedawno Stefci — spojrzął na żonę — powiedziała Wanda.

— To mi się tylko wymknęło — szepnęła zaramieniona.

— Nie wstydź się, zresztą nie dziwię się tobie, boś młoda, ale Władek? ale pan? Czyż nie widzicie przepaści?

— W którą zwali się rząd, — zaśmiał się Władek.

— I wy wraz z nim — rzekł z goryczą — bo kraj, bo naród zostanie. Zepętego robotnika łatwo wam podnieć, ale chłop was nie słucha. W guberniach fabrycznych możecie dokazywać, ale u nas nigdy wam się nie uda.

Znów spojrzeli na siebie z uśmiechem, co zauważyła Wanda.

— Sądziś może, że tu napady są niemożliwe? — spytał Władek.

— Jestem pewny tego. Najpierw rząd po waszych waryactwach jest bardzo ostrożny, no i nasz chłop każdego rewolucjonistę odda władzom.

— Nieciekawa okolica — zaśmiał się Kola.

— I bardzo — westchnęła Wanda.

Po obiedzie podano czarną kawę na ganku ogrodowym Kola czuł, że przeszkadza w rodzinnej rozmowie, w stosownej więc chwili rzekł:

— Pozwolicie państwo, że zobaczę kwiaty i ogród, tak dawno nie byłem na wsi.

— Pójdziemy wszyscy — odezwała się gospodyni wstając, a z nią reszta towarzystwa.

Kola z Wandą szli naprzód, a gdy się oddalili zwrócił się Bal do szwagra:

— Przyjechalśmy tutaj, aby widzieć się z adwo-

katem w sprawie sumy hipotecznej naszego wspólnego przyjaciela.

— Na jakim majątku?

— Na Landwerowie... podobno źle.

— Licytacja naznaczona — objaśniał gospodarz — trzeba się spieszyć.

— Tyle razy była naznaczana — zaśmiała się pani — i zawsze wybrnął.

— Ale może i utonąć — rzekł Władysław i w obawie, aby Kola się nie zdradził, zawołał do niego: Wiesz Kola, ta suma hipoteczna bardzo niepewna.

— Suma? niepewna? — zdziwił się Kola.

— Ta na Landwerowie — dodał Władysław z naciskiem.

— A, wiem... i cóż?

— Musimy być dzisiaj u adwokata w Oro-wiecku.

— Więc jedźmy.

— I ja z tobą Władziu — zawołała Wanda — mam tam sprawunki.



...,Otworzyły się nagle drzwi i wpadła Wanda, chwytając oddech z trudnością.

— Ty?... Będiesz się nudzić, bo jedziemy w interesach prawnych.

Siostra, widząc zasmuconą minę Wandy wsta-wiła się za nią:

— Zdaje mi się, że Wandzia nie będzie ci przeszkadzała. Panowie pójdziecie do adwokata, a ona za sprawunkami swojemi i mojemi.

Wprawdzie Władysław obawiał się domyslności swej siostry, lecz w równej mierze i podejrzeń szwagra. powiedział też pół żartem:

— Wobec sprawunków waszych, rozwiły się moje obawy o nudy... Czy możesz dać mi konie na godzinę?

— Są na twoje usługi i dobrze, że wcześniej jedziesz — spojrzął na zegarek, wskazujący pół do czwartej — możesz dzisiaj spotkać znajomych.

— Dzisiaj?

— Jarmark w mieście.

— Ach tak!.. tem lepiej. Teraz pójdziemy upo-rządkować papiery.

Gdy znaleźli się sami w pokoju, rzekł Kola do Bala z uśmiechem:

— Ależ twoja siostra gorąco kapana, — i na zdziwione jego spojrzenie, dodał — przy pierwszej sposobności spytała mnie zaraz czy jestem wasz?

— A ty Kola?

— Trudno mi było tłumaczyć jej, co nas dzieli i łączy, więc powiedziałem, że jestem wasz.

— Pamiętaj o swej roli — zaśmiał się Władysław — bo ona nienawidzi kłamstwa i przepadniesz w jej opinii.

To mówiąc wyjmował ze swego kuferka dwa kompletne mundury wojskowe, kilka paczek nabo-jów, browninga i kawałek czerwonej materii. Kola widząc to, spytał zdziwiony.

— A tobie na co te rzeczy?

— Do maskarady — śmiał się — rozłóż Kola pled, zawinę te drobiazgi, bo kuferki zbyt wido-czny.

W chwili, gdy Władysław składał mundur, a Kola trzymał czerwone płótno z białą wyszytymi literami P. P. S. otworzyły się nagle drzwi i wpadła Wanda, chwytając oddech z trudnością:

— Władziu... ktoś do ciebie... w sprawie wa-żnej.

Obydwaj starali się ukryć te rzeczy, ale jak to bywa w pośpiechu, robili to niezdarnie i Wanda dojrzała mundury. Władysław, narzucając pled na rzeczy, spytał:

— Gdzież on?

— W ogrodzie, gdyż tam kazałam mu iść... aby go służba nie widziała.

— Idę już — i wyszedł z pokoju, a tuż za nim postępowała Wanda, pytając:

— Czy mówiłeś ze Stefcią i z nim, że jadę do Warszawy?

— Nie miałem czasu.

— Ale Władziu, ja muszę wyje-chać, przecież sam słyszałeś dziś przy obiedzie..

— Co takiego?

— Ich przekonania, ich myśli i nadzieje... a dziś oboje byli wstrze-mięźliwi, ale gdy przyjadą sąsie-dzi... — westchnęła głęboko — nie, nie wytrzymam tu dłużej.

— Dobrze, dobrze... pomówi-my później... gdzież on?

— W prawej alei... widzisz?

Z pierwszego spojrzenia poznał Mło-ta, zwracając się więc do Stefci, rzekł może zbyt pośpiesznie:

— Zostaw nas samych — i szy-bko poszedł do stojącego w miejscu.

— Co się stało towarzyszu?

— Zaareztowano dwóch na-szych.

— Gdzie? kiedy?

— Pod Czajkowskim, zadrwali ze strażnika, pytającego o paszport. Mogliśmy byli ich odbić, lecz oba-wialiśmy się o sprawę w Orowiecku.

— Dobrze zrobiliście... Czy are-sztowani mają broń przy sobie?

— Miel, chyba że porzucili. I za nami szedł strażnik, rozporządzi-łem, aby szli pojedynką towarzysze.

— To dobrze... dziś jarmark w mieście, ułatwi nam spotkanie... za godzinę najdalej będę na miejscu. Czy który z towarzyszków służył w wojsku?

— Wiem o Marcelku, a prawda i Michał także

— Do widzenia towarzyszu! —

podał mu rękę i wskazał drogę.

Gdy wrócił do pokoju zastał rzeczy spakowane, a na pytający wzrok Kuli mruknął:

— Dwóch areztowano.

— To źle.

— O ile źle się skończy — uśmiechnął się, a widząc zajeżdżający powóz, dodał szybko: spie-szymy się Kola.

Dwór Żglińskich był oddalony od miasta o cztery wiorsty. Jechali niemal w milczeniu, jeden tylko Kola starał się podtrzymywać rozmowę, któ-ra rwała się co chwila.

Dopiero przy samym Niemal wjeździe do mia-steczka, odezwała się Wanda po francusku do brata:

— Czy nie masz mi do powiedzenia?

— Ja?... Nie rozumiem pytania.

— Jesteśmy przecież sami swoi... przyjechałeś w sprawie ważnej i nie tylko nie żądasz mojej po-mocy, ale nawet nie mówisz o co idzie — kończyła ze złe ukrytym żalem.

(Ciąg dalszy nastąpi).